

DZIENNIK ROLNICZY

Wydawany przez c. k. Towarzystwo gosp.-rolnicze Krakowskie.

N^o 7.

1 Kwietnia.

1866.

Treść: Gospodarstwo wiejskie i przemysł w górach ziemi sanockiej, p. *Ignacego Soldraczyńskiego*. (Ciąg dalszy). — Odpowiedź na artykuł pod tytułem: „Ulepszenia w Pszczelnictwie.“ p. *R. Nabelaka*. — Kilka słów w skutek odczytania korespondencji do *Dzien. Roln.* od pana *J. K.* w Nr. 16 (1865) i uwag, nad nią w *Dzien. Roln.* w N. 19 (1865). p. *J. S.* — Aforyzmy gospodarskie.

Gospodarstwo wiejskie i przemysł w górach ziemi sanockiej,

przez

Ignacego Soldraczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

VII.

Krytyka gospodarstwa leśnego.

Skręśliwszy w swem miejscu stan gospodarstwa leśnego w górach ziemi sanockiej, gdzie tak niepochlebnie wyraziłem się o właścicielach lasów, wstrzymam się już od wszelkich dalszych uwag w tym względzie, pozwalając sobie tylko na uniewinnienie uwag moich to powiedzieć, że dziś już nie czas rzeczy tak ważne w bawelnę obwijać; że prawda w dobrej wierze, ze szczerzej życzliwości wyrażona, nie powinna *nigdy nikogo* dotknąć, tem mniej, jak to u nas często bywa, aż do reklamy zapędzać.

Patrzmy na jeden z pierwszych narodów Europy, na Anglików, (od których, nawiasem powiedziawszy, lepszych rzeczy niż splenu, koniomanii, i przebierania Hryciów naszych za dzokiejów nauczyćby się nam warto), jak tam najpierwsi w kraju mężowie w parlamencie, w dziennikarstwie, krytykują się, jak szczypiącemi nieraz dowcipy się obypują, a przecież się poważają wzajemnie,

i zwykle poza salą obrad są najlepszymi przyjaciółmi. To porównanie moje jest trochę tutaj może naciągnięte, ale wyznajmy sami, czyż nie czas nam być już raz szczerkami, czyż nie czas, aby prawdomówność, otwartość bezwzględna, raz już u nas zaplanowały? Powinniśmy nie tylko być szczerkami w domu, u siebie, wśród swoich, ale bądźmy najszczerkami z sąsiadami, szczerkami w pismach, w zgromadzeniach, pozabądźmy się już raz tej etykiety, tego oględnego uważania, abyśmy broń Boże kogo nie dotknęli. Ale nie obrażajmy nikogo, bo to znowu co innego.

Ukończenie sprawy służebności.

a) Aby gospodarstwo leśne u nas poprawić, *najpierwszą, najgwałtowniejszą rzeczą jest ukończenie sprawy służebności leśnych.* Pokąd ta sprawa wisi, sami przed sobą mamy wymówkę, i rzeczywiście przeszkadza nieskończenie w urządzeniu gospodarstwa leśnego, gdzie dotąd nie było żadnego. Jak raz służebności się skończą, i co nam dać każą włościanom damy, będziemy nieograniczonymi panami własności naszej, i wtedy spodziewać się, że nie wstępując w ślady poczciwych ale nadto pobłażających swawoli śp. ojców naszych, będziemy mogli i chcieli gospodarstwo leśne porządniej prowadzić, i zyski będziemy mieli z lasu.

Patryotyzm i ludzkość wskazują nam obowiązki dla braci i sąsiadów naszych włościan: winniśmy być ich przyjaciółmi, doradcami, opiekunami, ale dobrodziejami ślepymi na własną niekorzyść, na zgubę własną nie powinniśmy nadal zostać, a nadto z samego obowiązku nobydzajania ludu, pouczenia go szanowania cudzej własności, nie powinniśmy mu dozwolić swawoli nie zgadzającej się z dobrem kraju i świętym prawem własności.

Nie tu miejsce rozwodzić się, dlaczego sprawa służebności tak żółwym krokiem postępuje; mamy dziś sejm krajowy, miejmy nadzieję, że on i w tej anomalii kroki stosowne u władz rządowych poczyni.

Zaprowadzenie systemu leśnego.

b) Powstrzymawszy z ukończeniem sprawy służebnictw wszelkie nadużycia, (którym zresztą i dziś dałoby się zapobiedz choć nie zupełnie, bo i dziś prawa nas bronią od nich, ale my często za leniwi w upominaniu się o krzywdy nasze), będzie drugim zadaniem: *zaprowadzić stały system w gospodarstwie leśnym.*

W lasach gór ziemi sanockiej, o tysiącznych morgach, gdzie

niema sprzedaży i fabryk w miejscu, regularne zręby są niepodobieństwem; radziłbym więc choć porządek jakitaki w użytkowania kolei (bo wszędzie jest miejscowa potrzeba) zaprowadzić. Więc lasy szpilkowe, *to bogactwo kraju naszego*, powinniśmy całej naszej uwadze poddać. *Czy jest odbyty, czy nie, szanować je bezwzględnie.* To obdzieranie z kory świerków, to marnotrawstwo na gonty, marnowanie cienkiego drzewa 6—8 cali trzymającego na budowlę, *jest barbarzyństwem*; choć więc tryb pładrujący, nieregularny, zostawić można, ale i on ma swe stałe reguły.

W miejscowościach zaś, gdzie już i drzewo materiałowe (budulec) i przerobione na deski, forszyty i t. p. zbyć można regularniej, powinniśmy bezwzględnie, *czy mniejszą, czy większą przestrzeń szpilkowego lasu posiadamy, najporządniejsze gospodarstwo leśne zrębowe zaprowadzić.* Zręby mogą *zawsze być pładrujące, ale regularne*, i las na lata podzielony (rezerwę naturalnie oznaczając). Każdy zrąb roczny możemy naprzód zużytkować na gonty podług potrzeby, potem wybrać kloce na tartaki, potrzebny materiał na budulec, i dopiero posuwać się dalej, *a nigdy nie antycypować.* Gdzie są jeszcze dziewicze lasy, starodrzewy szpilkowe, a trafiłaby się sprzedaż drzewa belkowego na splaw, tam możemy się zdecydować na splądrowanie jakiejś części starodrzewu, ale z oględnością, bo wartość drzewa takiego coraz większą, cena coraz będzie wyższą; bo nad Wisłą, Sanem, Wisłoką prawie już towarowego drzewa niema — a i tych tysięcy-tysięców (jak niejeden oblicza) nie znajdzie się jak przyjdzie do ścinania. — Mniejsze przestrzenie lasu szpilkowego powinno się szczególnie sumiennie obliczyć, bo są miejscowości w górach ziemi sanockiej o tysiącach morgów lasu, gdzie mimo tego, dla nieoględności i niegospodarności, lasu szpilkowego na *użytek miejscowy wkrótce nie stanie*, oprócz młodzieży (śród której bydło, owce i kozy pasą (!)) wszystko grubsze zmarnowano.

Co do lasów bukowych, których sanockie góry posiadają najwięcej, pewnie trzy czwarte części przestrzeni (lasu), dziś jeszcze nie tylko na nie żadnego odbytu niema, ale jeszcze wiele, wiele lat minie, zanim jutrzienka dla nich zaświta. Radzę więc część ich jakaś obrócić na połoniny, to jest pastwiska i łąki, — resztę zaś podzieliwszy na zręby, użytkować na palenie popiołów w celu wywarzenia ich na potaż.

Zdarzyło mi się nieraz czytać, że palenie potażu w lasach Galicyi jest marnotrawstwem bogactwa krajowego. Zapewne, że w okolicach gdzie mało lasów, a do tego jest odbyty, byłoby to

marnotrawstwem (bo z morga nie będzie więcej jak 8 centnarów), ale tam pewnie nikomu przez myśl nie przejdzie dziś w ten sposób las użytkowywać. Co innego w górach.

Wychodząc z zasad naukowych leśnictwa, że coroczny przyrost (wylączając rezerwy) należy się właścicielowi spożytkować w jakibądź sposób: pytam się, dlaczego by właściciel lasu bukowego w górach rocznego przyrostu, a więc jednej sekyi, nie mógł sobie spalić na popiół i wywarzyć z niego potażu? Proszę sobie kupić sągi całej sekyi rocznej, a każdy chętnie sprzeda i wcale nie drogo. Zapewne, — palenie popiołów bez miary, bez porządku, bez ostrożności, wszędzie, nawet w szpilkowych lasach, gdzie się nadpsute już drzewo znajdzie, i do tego stojące, to niegospodarność; bo te drzewa olbrzymy głucho się odzywające pukającej siekierze, są najczęściej wyżej t. j. parę łokci nad ziemią zupełnie zdrowe (jak sam u siebie ścinając na belki towarne przekonałem się nie mało) i długo jeszcze stać mogą, ale dlaczego nie mamy naszych sekyj bukowych użytkować, wywarzyć z popiołu potaż, ostatni sprzedać, a wywarem zasilić ziemie nasze z natury ubogie w sole mineralne?

Proponuję więc palenie popiołów zrębami, ale zawsze tylko w sposób plądrujący. Najgrubsze buki (jaworów nie tykać) obkorować, wszystko cieńsze niżej 8 cali zostawić nietknięte, i jak obkorowane za lat parę usechną i nadgniwać już zaczną, ścinać i palić (czy w dolach z rusztami, czy na ziemi, jak kto umie). Tym sposobem nie zniszczymy lasu bukowego, roczną tylko sekyą która nam się należy użytkujemy, plądrującym trybem nie odsłonimy lasu na burze i wiatry, bo tylko najgrubsze drzewa uprzątniemy, a te, przy olbrzymiej sile odradzania się naszych lasów, szybko rosnać zaczną, będziemy mieli dochód z potażu, a role i łąki zasilek z wywarów.

Kultura i ochrona leśna.

c) Właściciele lasów w górach ziemi sanockiej w droższe kultury *), zbieranie owadów szkodliwych i t. d. wdawać się nie mogą. Cała nasza kultura i ochrona leśna powinna się ograni-

*) Chociaż to nie tak trudna i kosztowna, miejsca wolne, zarosłe nieraz jałowcami, kiedy już nie czem lepszym, to choć świerkami zasadzić. Przyjmują się łatwo byle z ziemią sadzić. Tak samo sosna. Modrzew już trudniejszy.

czać na przestrzeganiu aby bydło, a szczególnie kozy i owce, w szpilkowych lasach się nie pasły; bo w lesie, gdzie plądrujący tryb praktykuje się, młody podrostek jest wszędzie, a ten pada ofiarą zębów kozy i owcy, a przez bydło rogate stratowany bywa. Nie powinniśmy cierpieć tych móstwa dróg lasowych. Choć w lasach bukowych pastwisko wynajęć można lub samemu paść, *niech jednak ogień i siekiera raz na zawsze wykluczone będą, gdzie nie należą.* Obawa to szkodliwego zwierza ma usprawiedliwiać u pasterza siekiere. *Lepsze, zaręczam, żelazne długie widły niż siekiera, a tem lepsze że lasowi nie zagrażają.* Powinniśmy szkodników śledzić, złapanych podawać do urzędu celem ukarania, do czego koniecznie ludzi sumiennych, ale nie pierwszych lepszych dyletantów w zawodzie leśnym utrzymywać wypada. Powinniśmy każdy posiadać mapy ostatniego pomiaru, pilnować granic, szczególnie od włościańskich łąk i pól ornych, i odgraniczać się tam, kiedy już u nas rowami przytrudno, znakami na drzewach, a gdzie-niegdzie i kopcami. Wkońcu powinniśmy pomyśleć o wyrugowaniu łąk włościańskich z lasów naszych, wszędzie tam porozrzucanych, (ku czemu mamy przepisy polityczne na zamianę opiewające), co da się w ten sposób urzeczywistnić, że w jednej części lasu bukowego utworzywszy łąki, pomieniamy się na nie z włościanami.

Tym tylko nie drogim, żadnych nauk, żadnych fachowo wykształconych ludzi, żadnych prawie nakładów nie wymagającym sposobem utrzymamy lasy nasze w całości, a gdzie są zdezolowane, poprawimy.

VIII.

Wskazówki do wskrzeszenia przemysłu w górach
ziemi sanockiej.

„E pluribus unum.“

Wyrazem *Przemysł, Industria*, określam każdą pracę ludzką, bądź pojedynczego, bądź więcej zespolonego zatrudnienia, podjętą ku uszlachetnieniu i udoskonaleniu pożytecznemu płodów surowych ziemi. Tak przekształcone płody surowe nazywam *wyrobami przemysłowemi*.

Jestto określenie bardzo ogólne; dla tych jednak, którzy znajomości praw umiejętności społecznej i reguł jej techniki nie

posiadają, wystarczy. *Przemysł* dzieli się na *rekodzielniczy* i *fabryczny*, które oba, chociaż sobie pokrewne, tem się jednak od siebie odróżniają, że pierwszy tę czynność uskutecznia zapomocą rąk i narzędzi, gdy drugi siły przyrody w formie machin do pracy zaprząwszy, człowiekowi tylko kierownictwo temi siłami i ostatecznie wykończenie zostawia.

Kto tylko z myślących choćby powierzchownie zastanowił się nad krajem naszym, tego to pewnie uderzy, że kraj ten, który posiada bogactwa obfite, siły przyrody nieobliczone i plodów surowych sam tyle tworzy, do tego ludność ma dość gęstą, tak ubogim jest w przemysł i tyle wyrobów przemysłowych sprowadza z zagranic swoich.

Mamy u siebie kruszce żelaziste, drzewo (z którem nie wiedzieć nawet w wielu miejscowościach co zrobić), a sprowadzamy narzędzia, sprzęty i maszyny gospodarcze, nawet konie nasze podkuwamy obcem żelazem *). Mamy skóry doskonałe, a odsyłamy je krociami do garbarń zagranicznych, zkąd nam dopiero braki przysyłają. Gałganów u nas pewnie nie brak, a sprowadzamy papier. Wywozimy wełnę, konopie, len, łój rzepak, a sprowadzamy sukno, płótno, świece, mydło, olej rafinowany. Mamy doskonałą glebę i klimat do hodowania buraków, a cukier kupujemy z zagranicy. Nasiona nawet sprowadzamy, choć pod naszym niebem doskonały tytuń się rodzi. Jęczmień mamy w kraju, a wszystkie cięższe piwa sprowadzamy i t. d. Dlaczego? Bo nie mamy przemysłu u siebie. Ale dlaczego u nas przemysłu dotąd niema? „Bo niema kapitałów, niema rąk zbywających od rolnictwa, bo niema inteligencyi potrzebnej do urządzenia, wprowadzenia w ruch i utrzymania wtym ruchu przemysłu“;—oto odpowiedź. Słyszymy ciągle i czytamy nieraz „że Galicya jest krajem ściśle rolniczym, że nim bardzo długo jeszcze zostanie, a przemysł na szerszą skalę jest u nas jeszcze nie na czasie.“

Odpowiem na te orzeczenia po porządku.

Że kapitałów rolnictwo nasze nie posiada (choć są w kraju), nie zaprzeczam; ale że kapitały wszędzie się tam garną, gdzie znajdują bardziej korzystne i pewne przytem ulokowanie, to niezawodna. Więc, *gdyby były po temu warunki u nas*, niezawodnie

*) Popod okna moje przechodzi corocznie 10—15 tysięcy centnarów żelaza z Węgier. Patrzę na to i patrzę na lasy moje pokryte paru milionami drzew, a mieszczące w swych wnętrzościach 20procentową rudę żelazistą!!

by się znalazły. Ponieważ jednak zagraniczne kapitały nie widzą u nas tych warunków, zaś krajowe mają wdzięczniejsze pole w handlu, lichwie i obcinaniu kuponów, więc, jak dotąd rzeczy stoją, dla przemysłu chętnych kapitałów niema i tego zaprzeczyć nie mogę.

Że rak niema zbywających od rolnictwa dla przemysłu, na to odpowiem, że cały olbrzymi fabryczny przemysł w Anglii zatrudniał w 1841 r. 1,297,439 ludzi *) (dziś ta liczba musi już być większą); że siła pary użytej w W. Brytanii działa za 600,000,000 par rak, zaś ilość ludzi użytych w kopalniach węgla wynosi tam 120,000**).

Że nie mamy inteligencji do urządzenia, wprowadzenia w ruch i utrzymania w tym ruchu przemysłu, tem sprostować sobie pozwalam, że w Europie zachodniej, północnej i środkowej, jest już bardzo wielka liczba ludzi w przemyśle fachowo ukształconych, wcale z miernymi wymaganiami, gotowych na każde wezwanie (jak się sam przekonałem zagranicą), byleby ich kto potrzebował i wezwał; a i u nas się znajdują.

Co zaś do utrzymywania, że Galicya jest krajem ściśle rolniczym dotąd, tego nie myślę zaprzeczać; ale z jaką to się dzieje korzyścią, widzimy, i jak długo w tym systemie, przy ciągle zwiększających się ciężarach rolnictwa, wytrwać będzie mogła? matematykiem nie trzeba być znakomitym, aby chwilę zupełnego upadku naszego oznaczyć.

Jakie jest nasze rolnictwo? Dewizą jego: *Siać i uprawiać jaknajwięcej i sprzedąć ziemiopłodów jaknajwięcej.* A rutyna jaka? Oto uprawa niedbała, obehodzenie się z nawozem najgorsze, zboże do sprzedaży wystawione nikle, źle wyczyszczone, chów bydła zaniedbany, zasilenie roli tysiącennymi środkami istniejącymi dawno nikomu ani w myśli, a rezultat tej jednostronności zatrudnienia naszego, *gdzie wszystko jest rolnictwem i handlem: gdy za granicami kraju głód się przytrafi, lub której części Galicyi Bóg chleba ujmie, jakatąka przewyżka nad koszta produkcji; gdy Bóg ościennym narodom, naszej najbliższej braci, pobłogosławi urodzajem choćby miernym, bankructwo*, bo kosztów wyplodu nie pokrywa sprzedaż oparta na handlu, a więc tarciu (frykeyi) transportu. Że innej szansy niema, pouczy jeograficzne położenie Galicyi, gdy się w niem rozpatrzmy; pouczy dotego, że konkurentów silniejszych od nas mamy na targach północnej i środkowej Europy.

*) Porter — *Progress of the Nation* — p. 75—81.

**) Carey — *Die Grundlagen d. Socialwissenschaft* — B. II, S. 264.

Na północ królestwo z glebą nie gorszą niż nasza, ale z lepszą organizacją rolnictwa; na wschód kraje zabrane, gotowe zawsze zasypać nas, gdy mniej produkujemy; na południe Węgry na glebie o wiele urodzajniejszej i w klimacie łagodniejszym siedzące. Możemy liczyć na odbyt pewny, stały i korzystny na targach północnej i środkowej Europy, gdzie ze wszystkimi temi konkurentami się zdybiemy; możemy liczyć na Odesę? Europa zachodnia i środkowa czyż nie robi olbrzymich postępów w podniesieniu rolnictwa i chowu zwierząt domowych, a Ameryka i Australia w dowozie Europie zboża czy próżnują? *Zostaje nam tylko kara boska: głód lub wojna przy urodzaju jednoczesnym u nas! Bardzo to słabe oparcie.*

Ale nie mniej ważne, całą wątpliwość, nieodosowność i okropną przyszłość naszego systemu rolniczego odkrywające, jest — mało dotąd dotknięte, mniej jeszcze przewidziane, a jednak nieochybne z czasem przy masowym wywozie ziarna i innych płodów ziemi — wyczerpanie naszej ziemi. Czyż wywiezione pierwiastki jak fosfor, potasek i inne sole mineralne zdołamy pognojem ze słomy i wywarów ziemniaczanych zastąpić? Ziemia nasza dotąd jakoś rodzi, w najlepszych glebach w przecięciu już tylko 7 ziarn, ale jeszcze rodzi, jeszcze ma zapas, i jak się dbalej uprawiać ją będzie i głębiej, jeszcze rodzić będzie czas jakiś. — Ale że nie rachując się z nią sumiennie, wywożąc co ma najcenniejszego, *wyczerpanie nadejść musi*, nie podpada najmniejszej wątpliwości, a kto wątpi, niech się zapyta historyi rolnictwa: Irlandyi, Portugalii, Indyj angielskich, Ameryki.

Biorąc więc na rozważny i ścisły rachunek z jednej strony niepewność odbytu płodów rolnictwa naszego za granicą, więc niepewność pokrycia kosztów produkcji; z drugiej zagrażające nam wyczerpanie się naszej roli, nie pozostaje nam jak oprzeć rolnictwo na prawdach zdrowej ekonomii politycznej, a te są: Szukaj konsumpcji obok produkcji, postaw warsztat obok pługa, stwórz wymianę miejscową z pominięciem handlu, a co handlowi poruczysz, niech będzie jaknajszlachetniejszej formy.

Tym sposobem powstanie różnaitość zatrudnień u nas, które wszystkie będą wzajemnymi producentami i konsumentami. *Przemysł* stanie się konsumentem płodów surowych rolnictwa, a producentem wyrobów potrzebnych rolnictwu. *Rolnictwo* będzie konsumentem wyrobów przemysłu, a producentem płodów surowych dla przemysłu. Niepewność odbytu zniknie, koszta transportu, *te największe podatki rolnictwa*, sprowadzone zostaną do najniższych

cyfer. Rola wyczerpaniem zagrożoną być przestanie. Wszystkie zatrudnienia ludzkie kwitnąć będą; pomimo największej ich rozmałości, najzupełniejsza ich powstanie harmonia, i całość kraju będzie zdrowa, harmonijna, piękna— „bo całość, powiada Goethe, tem doskonalszą jest, tem piękniejszą, im mniej podobne są do siebie pojedyncze jej części.“

Nasze góry, to część kraju najwięcej opóźniona; jakiegoby jednak znaczenia nabyły w gospodarstwie kraju, gdyby im ręce podano!

Część Galicyi, która posiada pewnie jeden milion morgów n. a. lasu, kopaliny najrozmaitsze, siły wody łatwo obliczyć się nie dające, która może, gdyby jeszcze jakąś część lasów bukowych obrócić na pastwiska i łąki, ogromną ilość bydła rogatego i owiec hodować, której przemysł może dostarczyć rolnictwu krajowemu machin i narzędzi gospodarskich, żelaza, szkła, potażu, tokarszczyzny, sukna, wyrobów z drzewa najrozmaitszych, budulcu, kamieni młyńskich, skór, nabiału i t. d., a jej ręce przemysłowe i pasterskie mogą konsumować plody rolnictwa równin,—*ta część kraju wielkie ma znaczenie dla reszty Galicyi.* — A dziś czem są góry nasze?

Ludność w nich szczupła, uboga, żywiąca się, gdy owies i ziemniaki dopiszą, wśród ścian własnych nędznie, próżnująca pół roku zawsze; gdy te plody chybnią, częścią emigrująca do Węgier, częścią umierająca śmiercią głodową!! Bo tu niema ani rolnictwa, ani chowu bydła odpowiedniego, a przemysłu ledwie cież błąka się dotąd wśród gór! *Ta więc część ósma Galicyi nie jest dotąd ani producentem, ani prawie konsumentem w kraju.*

A jednak to część znaczna łańcucha stanowiącego kraj cały; ale jego ogniwa cienkie, słabe, lada chwila kruszą się, przyskają. Aby ten łańcuch zrobić nierozzerwalnym, trzeba nam z drzewa Karpat silny ogień rozniecić, i zapomocą tego ognia z kruszców Karpat nowe, silne i trwałe odkuć ogniwa. Trzeba tę anomaliją usunąć, góry zrobić producentami dla równin, a lud ich konsumentem tych równin, i odwrotnie: doły producentami dla gór, a ludność ich konsumentami gór.

Wielkie mamy zadanie przed sobą; nie pojedynczych to ludzi siła, ten błędny bieg gospodarstwa krajowego, wiodący nas ku niechybnemu materyalnemu upadkowi, zwrócić w inną stronę. *Mądrej polityki i rzetelnego wsparcia Rządu, patriotyizmu klasy oświeconej, zespolenia sił i zasobów wielkiego, pracy usilnej, gorliwej, niezmordowanej, zaparcia się siebie dla wyższych celów, i lat długich potrzeba, aby to zadanie urzeczywistnić, ale do niepodobieństw ono nie należy.* Czem były Francya, Szweeya, Dania, Pru-

sy, Szwajcarya, a czem są dzisiaj? *Ab esse ad posse valet argumentum.*

Jeżeli kraju całego rolniczo-przemysłowo nie urządzimy, warsztatu obok pluga nie umieścimy, i miasto o ile możności urozmaicać zatrudnienia, jednostajność, to jest rolnictwo samo i handel dalej pielęgnować będziemy, czeka nas nieochoybnie coraz większa niewola pracy ludzkiej u kapitału i wywłaszczenie.

Inicyatywa z gór wyjść nie może, bo oprócz bogactwa przyrodzonego w drzewie, kruszcach, paszy, siłach wody dotąd prónujących i rękach, nie mamy więcej. Brak nam chleba, wiedzy i kapitałów. W urzędzeniu więc gór przemysłowo-fabrycznie i rekodzielniczo, góry tylko podstawy dostarczyć mogą.

Niech nam więc Rząd i siła zbiorowa kraju dopomoga, urządzą nam komunikacya, urządzą do spławu rzeki nasze, dopomoga w powstaniu szkólek u nas, ale szkólek nie ograniczających się do nauki religii, czytania, pisania i rachunków — szkólek puczających pszczelnictwa, sadownictwa i leczenia zwierząt domowych, a z rolnictwem i gałęziami przemysłu wskazanemi u nas *obznajmających choćby ogółowo młodzież.* Niech towarzystwa agromiczne zajmą się nami, potworzą u nas lub obok nas blisko filie, niech wezwą zdolnych i fachowych ludzi do obznajomienia się z nami, do poznania i zbadania stosunków naszych. Niech się zawiążą stowarzyszenia do wyrobu drzewa towarowego, założenia fabryk żelaza, stali, kamieni młyńskich, cementu hydraulicznego, rozmaitych wyrobów z jaworowego drzewa, wyrobu machin i narzędzi gospodarskich, roszenia lnu, fabryk płótna, sukna, serów tłustych itp. itp. . . . Niech dla tych właścicieli większych eo się przy ziemi utrzymać mogą, obmyśli Towarzystwo Kredytowe lub zespoleni mężowie mający środki ku temu, kredyt gruntowy i osobisty; a te majątki ziemskie, które już w żaden sposób ostać się same nie mogą, niech stowarzyszenie krajowe znowu nabywa i urządza wzorowo. Niech duchowieństwo odwodzi lud od próżniactwa, pieniactwa, włóczenia się po targach bezpotrzebnie, zachęca go do oszczędności czasu i do pracy, szanowania własności obcej, zabezpieczania się od pożaru. Niech Rząd przyspieszy ukończenie sprawy służebnictw, usankcjonuje podział własności gruntowych. Niech właściciele ziemscy i duchowieństwo gospodarstwa swe racjonalniej urządzą, w czem i lud ich nasz pewnie naśladować będzie. Wtedy, co daj Boże, góry mogą być po latach tem, czem są w marzeniach moich, *dostatnie, szczęśliwe i nasze.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Odpowiedź na artykuł pod tytułem: „Ulepszenia w Pszczelnictwie.“

Pod tym tytułem zjawiał się w Nrze 3 „Dziennika Rolniczego Krakowskiego“ i w N. 9 „Przyjaciela Domowego“ wychodzącego we Lwowie artykuł traktujący o ulepszeniach w pszczelnictwie, a dotyczący głównie dwóch przedmiotów, które gani — i maszyny Bollingera, którą chwali; jako więc osobiście interesowany i jako pszczelarz praktyczny, poczytuję sobie za obowiązek na ten artykuł odpowiedzieć.

Przedewszystkiem dziwi mnie, dlaczego Autor nie trzyma się nomenklatury pszczelniczej, której fundamenta założył Lubieniecki? — Tylko lud używa jeszcze dzisiaj wyrażen: *stare pszczoły*, *młode pszczoły* (mówiąc o pniach), *stare roje*, *młode roje*; pszczelarz postępowy zna tylko *nasiemniki* i *roje*.

W sądzie o ścianach woskowych myli się także szanowny Autor.

Podniósł on dwa sposoby tworzenia tych ścian: fabryczny, przez odtłaczanie przetopionego wosku w formach, wymyślony za granicą i tam wyrabiany — i domowy, proponowany przemennie, zasadzający się na obrzynaniu miodu z plastrów.

Widoczna jest, że Autor pierwszy sposób praktykował u siebie, wie bowiem np. że fabrykat ten zagraniczny przenosi grubość znacznie naturalną cienkość wyrobów pszczelnych, i że z tego powodu muszą go pszczoły obgryzywaniem przyprowadzać do przyrodzonej cienkości, nad czem dużo czasu tracą, a „wolałyby, jak sam Autor powiada, przez ten czas miód znieść.“ — Co do drugiego sposobu Autor zapomina o tej najważniejszej okoliczności, że pszczoły stosunkowo bardzo mało kosztuje naprawa ich własnych wyrobów, bo to się dzieje podczas upałów, gdy wosk jest miękki, a mitręceniem tego nazwać także nie można, gdyż właśnie ta naprawka ma miejsce przy końcu lub po pożytku, kiedy pszczoły nie mają co lepszego robić, korzystnie więc ten czas obracają na przygotowywanie sobie naczyń na rok następny, — a choć to nie jest *całe* naczynie, jakbyśmy sobie tego ja i Autor i wszyscy życzyć mogli, to przecież kto zna zasady ekonomii przyznać mu-

si, że lepszy rydz jak nic. Bez słuszności więc żadnej gani Autor te ściany z tej strony. Również bezzasadnym jest zarzut, że ten sposób pozbawia pszczoły pyłku kwiatowego; bo przecież nie masz koniecznej potrzeby żeby pyłek ten niszczyć, i owszem, można go zostawić. Jak zaś to zrobić? Na to odpowiadam, że pyłek ten jest przecież widoczny, wogólności odkryty, gdzieś tylko zdarzy się czasem komórka z perhą pokryta miodem, ale to wypadek bardzo rzadki — i myli się Autor przeciwnie utrzymując. Więc gdzie można, tam miód zrzyina się nożem, gdzieby zaś istotnie perha przeszkadzała, tam się miód zgartuje *kociubką* a ją się omija; obu tych sposobów można z dobrym skutkiem używać i nie zrobić sobie szkody, jak o tem sam się przekonałem. Ale to próżna obawa, bo gdzież to Autor zresztą widział na plastrach frontowych miodowych lub w magazynie będących dużo perhy? A jeżeliby istotnie ten przypadek zachodził, to się plastry z perhą wymieniają w pasiece na miodne i nie bierze się takowych do zrzywania. Niema się więc co dalej obawiać, że z perhą wydzierają się dziury w ścianach, bo trzeba by to chyba robić naumyślnie.

Wziąwszy dogodności i niedogodności obu sposobów na uwagę bezstronnie, dopieroby się pokazało, który sposób jest lepszy, i czy warto za zagraniczny płacić? Ale ani tej okoliczności że za cudzy płaciłoby trzeba, kiedy domowy darmo przychodzi — ani drugiej jeszcze ważniejszej, że ze swoim można być spokojnym a zagranicznego trzeba się obawiać, aby sobie z nim nie sprowadzić *zgnilca*, Autor na wagę nie kładzie i daje pierwszeństwo absolutnie fabrykatowi obcemu, — dlaczego? Oto że sposób ten daje jakoby sposobność do produkcyi samych plastrów z drobną robotą, — a przecież w domowym sposobie przymiot ten równie widocznie jak w tamtym się przedstawia?

Niedogodności pochodzące z mitręgi czasū mogą być równe; bo jeżeli odcisnięty воск pszczoły z wielkim mozolem muszą przez obgryzanie scieniać, to mają także robotę z wyprostowywaniem pozostałości komórek na ścianach rodzimych, więc niedogodności te się znoszą; za wadę bowiem nie można poczytać domowym ścianom *trutowej roboty*, bo gdy tu idzie o naczynia na miód głównie, to trutowe komórki jeszcze są lepsze na ten cel od drobnych, jeżeli w magazynie lub w odgrodzonem miejscu będą użyte, wiadomo bowiem że nigdy perhy w sobie nie zawierają. — Dalej *zrzywanie* pewnie więcej czasu nie zajmie, jak *odciskanie*, — dalej *nasze* są już przy snozach albo w ramkach, gdy *obce* trzeba

dopiero zaprawiać. Nasze darmo przychodzą, kiedy za tamte trzeba płacić. A gdyby i nasze ze względu na bilans uważać za zapłacone, nam samym, zgadzam się i w tym razie na wyrównanie, a gdy utrata pyłku i wydzieranie dziur przez pyłek w rzeczywistości nie zachodzi, przeto pozostaje w końcu tylko kwestya *zgniłca* do załatwienia, którą to zresztą okoliczność, w braku przekonujących *dotąd* dowodów, wypada zostawić sądowi ogółu pszczelarzy: niech zadecydują, czy ta obawa jest uzasadnioną, czy nie? Zawsze Autor nie powinien był o niej przemilczeć.

W sądzie o *ramkach* nie Autor nowego nie powiedział, podniósł tylko moją własną obawę, że przegródka dzieląca w ramce plaster *pionowo* na dwie połowy, może spowodować ten przypadek, że pszczoły zjadłszy miód po tej stronie po której zimują, nie dostaną się na drugą stronę przegródki do miodu i tu z głodu zginą. Mogę szanownego Autora upewnić, że ta moja obawa nie opierała się na żadnym fakecie, bo takiego przypadku nie miałem, chociaż po większej części pszczoły u mnie na takich ramach zimują, ale *na przypuszczeniu takiego przypadku*, że on mógłby się przytrafić; a że skutkiem złym zapobiega się przez usunięcie przyczyn, dlatego to właśnie proponowałem przy sposobności stosowaną poprawkę, zasadzającą się na tem, że przegródkę tę, która dotąd szła *na kant*, obracam i kładę *na płask*, a gdy ją pszczoły zarobią, ponieważ zawsze dążą *do ciągłości* roboty, i obydwie części plastra połączą splantowawszy go że tak powiem, przyczyna przypadku zostanie stanowczo usunięta, i takowy nigdy już zajść nie może, bo to jeden niepodzielny plaster, czego już doświadczyłem. Autor o tej proponowanej przezemnie poprawce przemilcza, a poprawka ta przecież zmienia cały stan rzeczy; należało więc o niej wspomnieć.

Dalej zarzuca Autor zbyt ciężką ciężkość takim plasterom z powodu zbytnej szerokości ramek, i zapytuje, ażali *ponętne* będzie wyjmowanie tak wielkich plastrów? Dziwnie mi zaprawdę wygląda takie zapytanie; bo przecież człowiekowi nie trudno 10cio funtowy ciężar udźwignąć, a pszczelarzowi przecież powinno na tem zależeć, jako producentowi, aby miał i jaknajwięcej i jaknajwiększych miodnych plastrów, bo to przecież jego korzyść, a więc i zatrudnienie około takich właśnie plastrów koniecznie *ponętne* być musi dla niego.

Co się tyczy drugiej części obawy i powątpiewań Autora, ażali wyjmowanie takiego ciężaru nie jest dla *samego plastra* niebezpiecznem? tu już wyraźnie Autor ignoruje zgoła znaczenie ra-

mek. Aby uniknąć długiej pisaniny i powtarzań się, odsyłam szanownego Autora do mego artykułu wyczerpującego rzecz, który r. 1862 w miesiącu styczniu w „Przyjacielu Domowym“ wyszedł pod tytułem: „O ulu poprawnym“, a tu tylko powiem krótko: że ramki, to ściągnięte ula; że gdy się plaster z miodem razem z temi ścianami wyjmie, nie będąc od takowych oderznięty, jest tak samo bezpieczny, jak gdyby pozostawał w ulu. Wprawdzie w rękach człowieka niezgrabnego i w ramce plaster może się oberwać, nawet mniejszy, jeśli nim o ziemię lub o co innego nieostrożnie uderzy, ale to zupełnie tak samo jak i w samym ulu mogą się plastry oberwać, gdy kto ul podniesie i nagle go upuści, choć nie są z ula wyjęte. Bezwzględnie nie jest bezpieczne na tym świecie, więc i plastry miodne; dlatego ludzie przedsięwzięją różne ostrożności, aby to bezpieczeństwo uczynić pewniejszym; nawet sam autor wychodzi z tej zasady, produkując krótkie sześciociałowe plastry zamiast długich 12to całowych, jak to z jego artykułu domyślić się można; ale z takim drobiazgiem dużo zachodu i babrania i straty czasu; ramka wielka zamyka takowych więcej w sobie, na czem zyskuje bezpieczeństwo, praca i czas.

Co do wielkości ula proponowanej przezemnie, autor robi ten zarzut, że powiększanie wielkości nie powinno powstawać przez rozszerzanie, lecz poprostu przez powiększanie głębokości i wysokości pnia, ponieważ jak autor mniema, sprzeciwia się to prawu promieniowania i odbijania się ciepłika, wskutek czego pszczoły w zbyt szerokich ulach mogłyby źle zimować. Autor powołuje się zresztą w tym względzie na koreowy ul Lubienieckiego, jako na wzór wielkości i konstrukcyi, i na normę wydaną przez niemieckich pszczelarzy, którzy zdecydowali, że największa możliwa szerokość ula jest 12”.

Że teoria szanownego Autora o promieniowaniu ciepłika itd. nie ma żadnej wagi w praktyce i niepotrzebnie budzi w nim nieufność ku szerokim ulom, mogę go o tem przekonać faktem, że u mnie zimują wybornie pszczoły w ulach 13½” szerokich, na dworze, a miałem u siebie kłodę prostą olbrzymich rozmiarów, która więcej jak 20” miała szerokości w świetle, a wyznając szczerze, że nie życzę sobie lepszych pszczoł, od tych co były w tym ulu. — Zresztą wielkie takie i szerokie kłody nie są osobliwością w okolicach leśnych.

Ja próbowałem już różnych ulów, od 7 do 13½” szerokości, i doświadczyłem tego, że tylko wielkie dają prawdziwy pożytek; z małych prędko się rozrasta pasieka i prędko ginie. Na tym to funda-

mencie proponowałem wielkie i szerokie ule, leżaki magazynowe, i takie u siebie zaprowadzam; nie śmiałbym zaś proponować coś takiego publicznie, o czembym się sam naprzód nie przekonał że jest i możliwe i dobre, i na stratę nikogo nie narazi.

Byłoby to zresztą przeciwne dotychczasowej głównej dążności mojej: pomagania do podźwignienia się u nas tej gałęzi, gdybym coś niepraktycznego i niepewnego doradzał; samo bowiem z siebie wynika, że w miarę doznawanych zawodów, ogół mógłby się zrazić do rozumowego pszczelnictwa, które samo jedno tylko daje tę rękojmię, a tego przecież pragnąć nie mogą. Więcej jest rzeczą pewną, że zagraniczni przemysłowcy i cywilizatorowie nasi, *nie z miłości ku nam* traktują nas swojemi wynalazkami, ale *z miłości ku naszym kieszeniom*, czego najlepszym jest dowodem fakt, że na głodową śmierć kraj nasz wykierowali, kiedy sami żyją w dostatkach i obfitości; a że dziś niema pieniędzy do wyrzucenia, jak to niegdyś bywało, więc nie należy ani ślepo wierzyć ich złotym słówkom, ani lekkomyślnie kupować zaraz wszystko, o czem tylko na całe gardło gazety zakrzyczą, bo już czas, aby „ludzi słuchać a swój rozum mieć“.

Następnie Autor, tak obawiający się powiększenia ula, sam jednak mówi: „że ule korcowe podług Lubienieckiego zbudowane są istotnie miodne, miałem sposobność w roku przeszłym o tem się przekonać“ itd. Tu autor wychwala miodność *jednego takiego* swojego ula i wylicza ile z niego plastrów miodu odebrał. Ja więc zapytuję go tutaj: jeżeli to jest prawda, że do takich ulów miodność jest przywiązana, dlaczego *nie we wszystkich* swoich ulach doświadczył tej miodności, *tylko w jednym?*... Mnie się zdaje, że wszyscy czytelnicy podzielią moją uwagę. Ale na tem nie koniec.

Gdyby tak w samej istocie było jak Autor twierdzi, że własność miodności jest do ula przywiązana — to precz z wszelką nauką! dosyć byłoby trzymać się takiej a takiej formy i wymiaru ulów, aby mieć miód. Wówczas skończyłoby się działanie rozumu ludzkiego. Kwestya podźwignienia u nas pszczelnictwa byłaby rozwiązana. Ale tak nie jest. Autor jest w błędzie, i innych samocheąc w błąd wprowadza. Sądzę, że zechce uwzględnić następne moje uwagi, które tu podać poczytuję sobie za obowiązek.

Miodność nadzwyczajną któregośkolwiek ula nie ulowi przypisywać należy, ale *sile twórczej, warunkom odpowiednim, pod ja-*

kiemi ul się znalazł, warunkom miodności sprzyjającym, przy czem ul gra tylko pośrednią rolę.

Oto prawda, a z niej znów wypływa inna, że *każdy ul może być miodnym, który ma te same czynniki*, czyli co na jedno wychodzi, że miodność jest w rękach pszczelarza, to jest, że *zależy od wiedzy*.

Warunki te tak drogocenne, z dzisiejszej nauki i z własnej praktyki każdemu znane być mogą. Wymieniam je tu w streszczeniu, o ile szczupłość artykułu na to pozwala. Jest tych warunków pięć.

1. Ul wielki i ciepły, leżak, z magazynem, dzierzon.
2. Siła żywa wielka w musze i w czerwiu, w gnieździe dostatniem, zaraz z wiosny.
3. Dostatni zapas karmy w ulu w każdym czasie, żeby na nim pszczołom nigdy nie zbywało aż do głównego pożytku, w miodzie i sycie.
4. Matka dobra wielkiej płodności, w pierwszym peryodzie stara, w drugim tegoroczna, żeby się pień nie roił.
5. Nieobecność trutniów.

Spotęgować zaś można tę miodność:

1. Przez postawienie pasieki (pnia) na wielkich pożytkach.
2. Przez dodawanie gotowego suszu.
3. Pobudzaniem pszczoł do budowy większego zapasu naczynia na miód przez zabieranie im gotowych plastrów (z pomiędzy 3ch środkowego) tak, ażeby w gnieździe utrzymać systematycznie dosyć próżnego miejsca, przy należytem cieple. Wówczas pszczoły nigdy nie będą próżnować, ale zawsze będą zajęte budową,— i nakoniec

4. Zahamowaniem w przyzwoitym czasie czerwienia (to jest na 3 tygodnie przed głównym pożytkiem) przez ograniczenie matki przegródką na najmniejszą ilość plastrów w gnieździe. Celu tego po części dopina się przy odnowieniu matki, ale to nie dosyć. Trzeba tak się urządzić, aby czas na wszystko wystarczył.

Kto tej miodnej metody użyje i w ten sposób w całej pasiece, będzie mieć miodność w każdym ulu i wszystkie będą miodne, czyto ule Lubienieckiego, czy Nutta, czy Bóg wie jakie, byle miały robotę *ruchomą*. Przy zbiegu też przypadkowym tych samych warunków, z małym wyjątkiem, widzimy czasem nadwyzczajną tę miodność w chłopskich pasiekach — dzieło samej przyrody. Prosty chłopiek nie umiejąc sobie tego fenomenu wytłumaczyć, przypisuje go własności ula a czasem i dobroci pszczoł.

Ale ul nie *sam* nie tworzy, tworzą tylko *czynniki stosowne*, dobrze kierowane.

Z dalszego wywodu Autora wnosićby można, że tenże zabie-
ra pszczołom na wiosnę miód pozostały od zimowli, a to aż do
„znacznego uszczuplenia liczby plastrów“, jak się sam wyraża.—
Nie biorę tego oświadczenia na seryo i chcę wierzyć, że to pro-
sty *lapsus calami* ze strony Autora; jednak ponieważ mógłby on
obałamucić początkowych pszczelarzy, którzy jeszcze nie mają
dostatecznego doświadczenia, muszę ich więc tutaj ostrzedz, aby
zachowali wielką ostrożność przy podbieraniu miodu na wiosnę,
gdzie ten zgubny i nierozsądny zwyczaj panuje. Niech pamięta-
ją jak Lubieniecki sam w tym względzie naucza i przestrzega,
że dla silniejszych pni i garniec miodu nie będzie za dużo na wio-
snę, a może i 1½ garnca przydałoby się; że na miodzie wzrastają
pasieki, bo jednym słowem „miód to pasieka!“ Prawdziwy ten
ojciec naszego pszczelnictwa szczerą mówił prawdę; można z nim
powtórzyć: *miód, to pasieka*, i dodać: *głód, to pasieczysko*.

Do wypróżnienia podług mnie plastrów miodowych na wio-
snę najlepsze są same pszczoły; one to umieją doskonale robić,
aż „do suchości“, pewniej i lepiej niż wszelkie w świecie maszyny,
z tą różnicą w skutkach, że na tym miodzie który pszczoły na
wiosnę spotrzebują, a raczej na jego miejscu, urodzi się *siła ży-
wa*, która w trójnasób tyle miodu potem zniesie ile spotrzebowa-
ła, kiedy maszyna potrafi na wiosnę tylko zabrać i miód i siły
żywotne ula! Zresztą czas do działania dla maszyny nie jest wio-
sna, ale lato, podczas miodobrania.

W końcu wychwala Autor i zaleca maszynę Bollingera, ale
nie podaje jej ceny. My jednak wiemy z dawniejszych ogłoszeń,
że cen tych jest dwie: niższa wynosząca 45 fl. w. a. za mniej-
szą, i wyższa 65 fl. w. a. za większą maszynę; czyż autor dlatego
pizemileczał o tych cenach, że się sam przestraszył takiego
zdzierstwa?... Zresztą zalecając nam maszynę nie pisze Autor,
czy o praktyczności jej sam się przekonał, czy tylko powtarza co
słyszał? A to przecież rzecz niemalej wagi, żeby nie kupić znów
grata, jak tyle innych, które się na strych powyrzucało. A o ile
się można spuścić fna zagraniczne anonse, sam autor wyznał to
przy sposobności, mówiąc o ścianach woskowych wytłaczanych
za granicą, że były przyjęte z „okrzykiem zadowolenia“ a prze-
cież nie całkiem odpowiedziały oczekiwaniu. Skądże pewność, że
się znów nie zawieziemy?... Wątpię, aby spekulanci zagranicz-

ni stali się przez ten czas sumienniejsi a my przezorniejsi, więc jest się czego obawiać.

Jeszcze jedna rzecz. Bollingera maszyna może być dobra, nie przeczę, ale czy koniecznie mamy się żywić zagranicznym obrokiem?

Naród nasz *wpadł w ten nałóg*, i stał się *w przemyśle* autodemem, co znaczy istotą która o tyle tylko funguje w gospodarstwie narodowym, o ile nią kierują obce sprężyny, obce wynalazki, a swego nic nie tworzy. Jakież jest *moralne potomstwo* tego nałogu? Wstręt ku własnym odkryciom, wstręt ku własnym siłom, wszelki brak poczucia do wspomagania budzącego się własnego przemysłu, jakaś nieprzyjaźń ku własnym pomysłom a przeniewierzająca się własnej sprawie miłość ku wynalazkom zagranicznym! Gdzież wśród takiego stanu rzeczy może się dźwignąć u nas przemysł, choćby tylko w jednej gałęzi?... To niepodobna!

Smutny zaprawdę widok: masy *niemyślące* boją się obcych wynalazków jak ognia, a same nic nie tworzą, — warstwy *myślące* gonią znów za takowemi na oślep i także nic nie tworzą, — zkądże się ma wzięść bogactwo? Zdawałoby się na pozór, jak gdyby u nas nie było *myślicieli*, a tu tylko brak bodźca, brak wskazania kierunku praktycznego.

Na tym punkcie zapatrywania się na rzeczy nie stanął Autor artykułu „Ulepszenia w pszczelnictwie“.

Mówi on o prawie promieniowania ciepłika, a ignoruje prawo *promieniowania myśli*, przy których świetle możnaby i na naszej ziemi przyjść do niektórych odkryć, przez zastosowanie pewnych zjawisk które nas otaczają do pewnego celu; odkryć za którymi trzeba się tylko obejrzeć i poszukać, aby je znaleźć. Nie przeczę, że nie mamy w tem takiego daru jaki mają ludy zachodnie, u których wynalazki sypią się jak z rękawa, ale i im nie lepiej musiało iść w początkach, a my musimy raz zacząć.

Przynajmniej w potrzebach pszczelnictwa powinniśmy sobie dać radę i obejść się bez pomocy cudzoziemców.

Sprawa wypróżniania plastrów z miodu leży dziś na porządku dziennym. Odwołuję się w tem do zdania myślących pszczelarzy, ażali przy głębszem zastanowieniu się nie dałoby się coś takiego wynaleźć, coby nam obcy wynalazek zastąpiło?... Chociaż może nie odrazu tak doskonale, tak ładnie, tak składnieby szło, ale obrachujmy pieniądze któreby w kraju pozostały i które już na pierwszy raz nasz zysk stanowiąc będą, a resztę nadstarczmy

pracą choćby mozolną *): wszak w użyciu ulepszają się wynalazki.

Jeżeli widok przyrządu centryfugalnego w cukrowni dał powód do wymyślenia maszyny Bollingera,—wiedząc że na prawie siły odśrodkowej jej działalność się zasadza, ażali, pytam się, nie moglibyśmy sami na jakim wzorze z narzędzi gospodarskich podobnej kategorii oprzeć się i swój pomysł utworzyć? Nie mówię tego napróżno.

Nie podlega wątpliwości, że na Zachodzie głównym czynnikiem i przewodnikiem do wynalazków są nauki przyrodnicze, które tam kwitną a u nas są jeszcze w kolebce; ale nie ubliżę prawdzie jeżeli powiem, że również bliską przyczyną tej twórczości jest praktyczność i nabyta wprawa w posługiwaniu się i zastosowaniu sił już w użyciu będących. Moglibyśmy czegoś dokazać, ale trzeba więcej *pracować myślą*.

Przyjmując wszystko od obcych bez wyjątku, musimy się wlec za nimi jak niedoleżne kaleki z tyłu i naszym zwycięzcom ciężki opłacać haracz — pieniędzmi i honorem! Niech pszczelarze fachowi wraz z szanownym Autorem „Ulepszeń“ przypomną sobie jaki z tego powodu ciąży na nich obowiązek jako na członkach narodu i ze względu na ekonomią społeczną, i niech starają się z niego sumiennie wywiązać.—Oto warunek podźwignienia u nas pszczelnictwa i wytrzymania konkurencyi z zagranicznymi producentami: *samodzielność myśli* — innego niema.

Żółkiew dnia 18 marca 1866.

R. Nabelak.

Kilka słów w skutek odczytania korespondencyi do *Dzien. Roln.* od pana J. K. w N. 16 (1865)— i uwag nad nią w *Dz. Rol.* w N. 19 (1865).

Jako przyjaciel ludu, gdy chodzi o kwestyą pomocy lekarskiej dla niego, nie wacham się moje zapatrywanie się na tę kwe-

*) Ja wynalazłem na to dwa sposoby w tym guście, o czem publiczność w jesieni jeszcze r. z. zawiadomiłem; ale że drugim czynnikiem są tu pszczoły, a te jeszcze dziś nie są czynne, z tego powodu, aby lepiej te sposoby wypróbować, spóźniam się z ich publikacją.

stają tyle ważną, do czasopisma rolniczego a więc organu naszego zatrudnienia podać. Biorę rzecz ze strony praktycznej; nie jestem lekarzem graduowanym, nie mam więc żadnego prawa, a tem mniej pretensyi wyrokowania o szkołach i systematach medycyny—*„mais on peut être musical, quand on n'est pas musicien.“*

Cierpiąc lat wiele na zdrowiu, a nie znalazłszy pomocy ani u lekarzy, ani u wód wskazanych mi, zmuszony byłem wkońcu z dzieł przystępnej mi treści i języka warunki zdrowia, przyczyny chorób ludzkich i środki leczenia ich sam studiować. Mieszkać nadto w oddalonej od większego miasta, bezdrożnej okolicy, postawiony byłem w konieczności rodzinie mojej, domownikom i włościanom majątności mojej (a nawet okolicznym) udającym się do mnie nieść pomoc lekarską, na jaką zdobyć się mógłem. Te więc naprzód studia, potem praktyka wieloletnia, stworzyły we mnie przekonanie, że: *nie takiejto koniecznie głębokiej nauki potrzeba, aby z pomyślnym skutkiem leczyć lud nasz w zwykłych jego chorobach.*

Dietetyka i medycyna są już dziś przez uzdolnionych lekarzy zagranicznych tak spopularyzowane i dostępnemi uczynione, że każdy z nas władający językiem w którym czyta, jeśli mu pierwsze zasady nauk przyrodniczych nie są obce i umysł choć trochę badawczy posiada, a do tego kocha ludzkość i pomoc jej nieść pragnie, może je o tyle pojąć, że *posiędzie uzdolnienie do pomyślnego leczenia chorób ludu naszego.*

„Arzt ist jeder vernünftige Mensch“ — powiada Dr. Bock w swem dziele (*Das Buch vom gesunden und kranken Menschen*) znakomitej wartości, wyjąwszy niezasłużone pociski na homeopatya;— i nie jedno jeszcze bardzo poważne zdanie tego samego znaczenia dałoby się tu przytoczyć.

Cześć jednak prawdziwym uczniom Eskulapa, tym największym dobroczyńcom ludzkości! Czołem przed mężami głębokiej nauki! Ale czyż pierwszy świeżo upatentowany *Patronus Chirurgiae* otrzymawszy *stallum agendi*, już jest w całym tego słowa znaczeniu lekarzem?

Wniosku szanownego posła Lipczyńskiego co do pomocy lekarskiej dla ludu nie znam (ani nam pan Dr. Starkel myśli swej zupełnie nie rozwinał), ale zapewne wychodzi on z najszlachetniejszych uczuć, z miłości dla ludu naszego, i najprawdopodobniej domaga się uorganizowania pomocy lekarskiej dla ludu wiejskiego na pewne okręgi kraju przez lekarzy do tego wezwanych, i za to przez gminy remunerowanych, urządzenia szpitali po wsiach itp.

Jak już oświadczyłem, wniosku tego zupełnie nie znam, tylko się domyślam. Zdanie moje jednak w tej rzeczy jest to, że wszelkie takie urządzenia, aczkolwiek w zasadzie bardzo piękne, humanitarne, kosztowałyby dużo, a korzyści otrzymane, w składzie rzeczy jaki jest u nas, byłyby bardzo mało znaczące.

Trzeba znać lud nasz, zrósć między nim, żyć wśród niego, aby tu orzekać praktycznie — bo:

Popierwsze. Lud nasz wogóle niema ani do lekarzy, ani do leków przez nich ordynowanych najmniejszego zaufania. W niektórych tylko okolicach blisko miast większych, gdzie trochę więcej oświaty nabył, można przyjąć rzadkie wyjątki, że się do lekarza udaje, słucha ordynacyi, kupuje leki, ale prędzej i tam jeszcze idzie do balwierza który mu puści krew, postawi pijawki, da jakiś proszek purgujący i t. p.

Powtóre. Lud nasz, to małe dzieci. Chcąc go leczyć, trzeba go pilnować, czuwać ciągle nad nim, przestrzegać, doglądać. Wtedy nawet usłucha.

Potrzenie. Lud nasz ma pełno przesądów, zabobonów, i szuka pomocy, a i wierzy w nią, u czarownic, wróżbitów i t. p.

Bardzoby więc trzeba gorliwych, niez mordowanych, z największem poświęceniem, a do tego wielkie zdolności wpływania na umysł ludu posiadających lekarzy, aby tu z pożytkiem działać można. Czy podobna, aby temu podolał lekarz (choćby zupełnie fachowo uzdolniony) na kilkanaście wsi? Czyż można przypuścić, że do każdego chorego o północy, o 2 i więcej mil zdążyć potrafi, złą drogą, w złej porze, najgorszą podwodą albo i wołmi gdzie koni nie trzymają? Czyż mu dadzą znać, czy go w domu zastaną zawsze,—bo trudno mu odmówić i ubocznej praktyki, a choćby i umową zastrzeżone było aby się z okręgu nie oddalał, gdzie kontrola?

Nie mogę sobie wyobrazić, aby taka pomoc była (chyba wyjątkowo) połączona z poświęceniem, pilnością, sprężystością, podniesieniem osłabionego ducha, perswazyą, moralizowaniem, czego we wszystkich tych stosunkach z ludem koniecznie potrzeba. *Byłaby to instytucja biurokratyczna i nic więcej.* Mamy podostatkiem praktyki dzisiaj. Podczas każdej epidemii rząd wysyła lekarzy; ci przeszedłszy po wsi i skonstatowawszy choroby, przepisuja leki i jadą dalej. Leki przychodzą z apteki, lud mistry wylewa za okno, proszki wysypuje na śmiecie i na tem koniec... *Zupełnie innych korzyści spodziewałbym się we względzie pomocy lekarskiej ludu wiejskiego od zaprowadzenia kursu medycyny w se-*

minaryach duchownych, bo uważam stan ten za najzdolniejszy na wsi do posług cierpiącej ludzkości.

Któż tak zbliżony do ludu, jak namiestnik Chrystusa? Któż tak zna życie jego domowe i zadomowe, nałogi, namiętności, cierpienia moralne? Któż prędzej niż dusz pasterz posiędzie zaufanie swej trzody, wymoże zachowanie się należyte chorego i otaczających go?

Chodzi tylko o to, aby potrafił nie tylko być lekarzem duszy, co jest jego powołaniem, *ale umiał i ciało leczyć*. Zadaniem by więc było ludzi nauki, (co gdzieindziej już dawno pojęto i w czyn wprowadzono), medycynę zrobić i u nas przystępną. Czy to ma być podług szkoły racjonalnej, czy homeopatycznej, czy hydropatyą ożenić także z pierwszą lub drugą, nie moja rzecz przesądzać. Żeby jednak nauka medycyny tak była trudno-dostępna dla kształcących się w seminaryach duchownych i dla kogobądź ktoby się temu poświęcić chciał, bez odbywania przepisanych kursów praktyki w szpitalu i t. d., i aby tylko ludzie zupełnie uczeni i graduowani, *a więc lekarze jedni* byli w stanie *lud nasz leczyć*, tego zupełnie nie podzielam. Praktyka codzienna inaczej poucza. Dla czegoż lud sam się garnie do tych dworów, do dusz pasterzy, do lekarzy-naturalistów, słowem wszędzie tam gdzie mu dają pomoc, choć nie mają przywileju udzielania jej, *ale gdzie pojęcia przyczyny chorób i sposoby leczenia nie są już arcanum duplicatum?* Tam przecież tyle nie umieją co lekarze, *ale najczęściej prędzej i lepiej pomogą, bo znają lud nasz, umieją go przekonać, starają się wybadać, i w sposób pojedynczy, stosowny do jego natury ulżyć mu, i wolni są od przesądów i formułek, których nowa szkoła medycyny racjonalnej dotąd jeszcze z swej dziedziny wyrugować nie może. Oni zresztą są blisko niego i mogą ciągle czuwać nad nim.*

Nie dziwny się więc i ludowi naszemu bezwzględnie, że nie wierzy lekarzowi i aptece, bo z kąd dzisiaj brak zaufania do lekarzy i u klasy wyższej inteligencyą pojawił się? Dlaczego mając blisko jednego lub dwóch, dalekie drogi chorzy odbywają, celem konsultowania się u innych? Z kąd dyletantyzm w hemeopatyi i hydropatyi? Dlaczego zdolni prawdziwie lekarze racjonalni zagraniczni w dziełach i czasopismach ostrzegają przed nieostrożnem poddawaniem cierpiącego organizmu eksperymentom pierwszego-lepszego lekarza? Dlaczegoż znakomitości medyczne popularyzują swą wiedzę? Niech na te pytania kto inny o.dpowei.

Przy tej sposobności i ta mi się myśl nasuwa jeszcze, czyby nie było pożytecznie dla dobra ludzkości, aby w seminaryach duchownych uszczuplić trochę nauk teologicznych, a miasto tego, oprócz kursu medycyny, za którym jest p. J. K. i piszący, przyszłych duchownych, których przeznaczeniem być doradcą, przyjacielem, słowem ojcem powierzonego im ludu, obznajmiać z rolnictwem, pszczelnictwem, sadownictwem i weterynaryą?

Uszczuplenie wykładu nauk teologicznych nie byłoby pewnie ze szkodą dla moralności trzody chrześcijańskiej, ani dla duchownego samego; bo *kto pokocha raz te nauki, to je pewnie sam dalej bez żadnego bodźca pielęgnować będzie. Kto zaś tylko z konieczności, dla zdania egzaminu, w pamięć je wraził, pewnie ich zaniecha potem.*

Ale nimby ten kurs dla duchownych (mówię o medycynie) zaprowadzony został w seminaryach, nimby się po kraju ci księża co już kurs ten odbyli rozeszli, długoby jeszcze czekać. Byłoby więc bardzo pożytecznie, aby ktoś z zacnych i patrioetycznych lekarzy, przyjaciół ludu naszego, do których (przepraszając najmocniej, jeśli skromność jego obrażam) i pana Dra Starkla policzam, (albo kilku razem), zajął się wypracowaniem dzieła popularnego medycznego w mowie ojczyściej, bo nie posiadamy teraz odpowiedniego postępowi medycyny, któreby było wystarczające do obznajomienia z zasadami dietyki, z przyczynami chorób i sposobami pojedynczego leczenia ich u ludu wiejskiego.

Takie dziełko, kosztem kraju wydane i bezpłatnie między duszpasterzy upowszechniane (a i każdy nieomal dwór, każdy przyjaciel ludzkości z inteligencyi nabędzie je), zalecane oprócz tego przez Wydział krajowy, oba konsystorze i dziennikarstwo krajowe, w dzisiejszym składzie rzeczy i obecnej dobie niskiej jeszcze oświaty u ludu naszego wiejskiego, niezawodnieby więcej korzyści przyniosło, niż urządzenie pomocy lekarskiej dla ludu kosztowne, a że prawdopodobnie urzędowo - biórokratyczne, więc bardzo wątpliwej użyteczności.

W końcu dodam jeszcze, że co do sztuki położniczej, znam wypadki, gdzie proste baby - akuszerki ze wsi powoływano do zamożnych dworów, mając do nich więcej zaufania niż do srowadzonych uczonych z miasta; — mógłbym równie przytoczyć tu zdarzenia, gdzie źle złożone przez panów chirurgów złamane członki, prosty chłop chirurgus - naturalista z najlepszym skutkiem na nowo składał. Nie wiadomy mi nawet ani jeden wy-

padek, choć 23 lat śród ludu żyję, aby w razie złamania ręki lub nogi, (co się nie rzadko zdarza), chłopek chirurgus - naturalista nie uskutečnił operacyi złożenia jaknajpomysłniej.

J. S.

Aforyzmy gospodarskie.

Prawy gospodarz jest nim dzień i noc. Nie ubiega on się o zaszczyty świata. Wie, że mu ich rzetelne gospodarstwo nie *nadto*, lecz *dosyć* przyniesie.

Nie sądz, że bez nauki podolasz swemu zadaniu. — Zbierz wszystkie nauki razem — a jeszcze ich, jako rolnik, nadto mieć nie będziesz.

Produkcya Nasion Pastewnych w Kleczy.

Uwadamia, iż wszystkie niemal zasoby Nasion w miejscu już wyczerpiętemi zostały. Zamawiający większe ilości raczą zatem udać się wprost do Domów komisowych w cennikach wymienionych, które jeszcze niektórymi gatunkami dysponować mogą, — gdyż opuszczając się na Produkcją, mogliby być narażonemi na zawód, który tem byłby dotkliwszy, iż spóźniony czas siewów uniemożliży sprowadzenie zkądiną.

Jedynie Koniczyna czarna i biała, Łubin i Szporek, są jeszcze w większych ilościach do pozbycia.

Klecza dnia 5 kwietnia 1866 r.

Henryk ze Sławina Sławiński i Syn.

DZIENNIK ROLNICZY wychodzi dwa razy na miesiąc po 1/2 arkusza. Cena przedpłaty dla Czynnich Człon. Tow. roln. krak. 3 zł.; dla innych abonentów 5 złr. w. a. rocznie. Należytość przesyłaną być ma franco pocztą pod adresem: Do Ekspedycyi „DZIENNIKA ROLNICZEGO“ w biurze c. k. Towarzystwa gospodarczo-rolniczego przy Ul. Sławkowskiej, w domu Towarzystwa Naukowego w Krakowie, z wyrażeniem na kopercie: pieniądze prenumeracyjne.

M. Jawornicki Red. odpow. — Nakł. Red. — W dr. Czasu W. Kirchmayera.